

# Z Polski do Australii

**Rozmowa z dr. Tadeuszem Jasińskim, byłym wykładowcą geodezji wyższej na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej, od 30 lat mieszkającym w Australii**

**KATARZYNA PAKUŁA-KWIECIŃSKA:** Zanim zapytam, jak trafił pan do Australii, chciałabym wiedzieć, jak pan trafił na studia geodezyjne.

**TADEUSZ JASIŃSKI:** Było nas w Łomży – 120 km na północ od Warszawy – trzech muszkieterów: Romek Kleczek, Szczepan Głuchowski i ja. Interesowaliśmy się astronomią i po maturze wybraliśmy ją jako przedmiot studiów. Moja mama była z tego niezadowolona, ponieważ mieliśmy w rodzinie kilku astronomów, którzy z powodu ciągłych obserwacji rzadko bywali w domu, i chciała mi takiego losu oszczędzić. A że znaliśmy się od 1945 roku z rodziną profesora Janusza Śledzińskiego, tata dowiedział się od niego, że są możliwości studiowania geodezji. Ze względu na niski próg przyjęć wystarczyło zdać egzamin. Dostaliśmy się wszyscy trzej. Od szkoły średniej trzymaliśmy się razem, razem budowaliśmy teleskopy i prowadziliśmy obserwacje nieba. Dlatego bardzo się ucieszyłem, że na geodezji też jest astronomia. Ale tylko do pierwszego egzaminu, z którego dostałem dwóję (*śmiech*).

**Dlaczego?**

Byłem bardzo dobrze przygotowany ze skomplikowanych zagadnień, a profesor zadał mi najprostsze pytanie: ile dni ma rok. Kompletnie zgłupiałem, a on moją ignorancją bardzo się zdenerwował. Chciałem uciec, gdzie pieprz rośnie. Tak moja ukochana astronomia załatwiła mnie na pierwszym egzaminie. Ale w sumie cała nasza trójka przeszła przez studia bez większych problemów.

**Chyba nie samą nauką żyliście?**

Po II roku Kleczek, który był zapalonym sportowcem, chciał grać w tenisa. Powiedział mi, że na I roku jest taka Barbara Panasiuk, mistrzyni junierek w tenisie, i ona musi mieć mnóstwo piłek. Poprosiłem ją, żeby nam dała jedną, dwie piłki. Powiedziała, że to niemożliwe, ponieważ jest z nich zliczana. Ale w końcu znalazła dla nas jakąś mocno zużytą. Poszliśmy grać i po 5 minutach piłka wypadła nam na sąsiedni kort, a my wstydiliśmy się prosić o zwrot takiego łacha. Tak się skończyły nasze tenisowe przygody.

**Dzięki tej nieszczęsnej piłce poznał pan przyszlą żonę.**

Tak, choć później przez dłuższy czas nie zwracałem na Barbarę uwagi. Dopiero podczas praktyki w Sarbinowie coś między nami zaiskrzyło.

**Kiedy i jaką specjalność na geodezji pan skończył?**

W 1962 roku i, niestety, były to pomiary podstawowe.

**Dlaczego niestety?**

Bo to jest nauka o Ziemi, na którą składa się dużo, bardzo dużo teorii i która ma niewiele wspólnego z geodezją terenową. „Prawdziwej geodezji” nauczyłem się dopiero w Australii i byłem zadowolony, że wreszcie robię coś konkretnego. W Polsce właściwie tylko mierzyłem długości, bo mieliśmy na wydziale dalmierze laserowe, które zresztą sam załatwiłem.

Ale zanim zatrudniłem się na uczelni, miałem przez cztery lata odpracowywać w Polskich Kolejach Państwowych stypendium fundowane. Po dwóch latach prof. Czesław Kamela, człowiek niezwykle inteligentny, zaprosił mnie do siebie do katedry i udało mu się wyrwać mnie z rąk kolejarzy. Choć okres pracy na PKP, z perspektywy tych 50 lat, bardzo sobie cenię.

**A jak było z tymi dalmierzami?**

Kiedy w 1964 r. zacząłem pracować na wydziale, to na wyposażeniu były tylko stare teodolity. Sam postawiłem sobie zadanie, żeby załatwić nowoczesny sprzęt. Na rynku były wtedy bardzo duże dalmierze AGA, a później pojawiły się mikrofalowe marki Macrometer. Jednak nie tego szukałem, ponieważ ich obsługa była skomplikowana, a ja chciałem urządzenie proste w obsłudze.

**Ale wtedy nie było łatwo o takie dalmierze.**

Profesor Kamela wysłał mnie do Poznania na targi, gdzie poznałem pracownice centrali handlu zagranicznego, które kontraktowały sprzęt dla geodetów. W porozumieniu z nimi zebrałem i dostarczyłem im materiały o dalmierzach. Taki dalmierz kosztował 25 tys. dolarów, co było sumą niewyobrażalną, bo wówczas za 100 dolarów można było w Polsce

żyć cały rok. Mimo wszystko udało nam się kupić aż trzy dalmierze. Pierwszy był świetlny EOK o zasięgu 2 km, prawie cyfrowy. Do pomiarów na „duże” odległości (do 3 km) nabyliśmy EOS. Obydwa te instrumenty produkowała firma Carl Zeiss w Jenie z naszego komunistycznego obozu. Trzecim dalmierzem była laserowa szwedzka AGA, najdokładniejsza, bo wynik w mniejszym stopniu zależał od warunków atmosferycznych, więc i poprawki były niewielkie. Z teodolitami Zeissa poszło jeszcze łatwiej. Zamówiłem 20 sztuk i tyle otrzymaliśmy.

**W jakiej jednostce wydziału pan pracował?**

Najpierw w Instytucie Geodezji Wyższej i Astronomii Geodezyjnej u prof. Zbigniewa Żąbka, a następnie przeniesiono mnie do Instytutu Geodezji Przemysłowej. Razem z Romkiem Kleczkiem wykorzystywaliśmy dalmierz jako źródło zarobków. Dzwoniły do nas firmy z całej Polski, żeby im zmierzyć jedną odległość za 3 tys. złotych, czyli równowartość miesięcznej pensji, bo alternatywą był dla nich pomiar taśmą albo drutami. Natomiast początkowo nie za bardzo radziłem sobie z dydaktyką, bo nie miałem żadnego doświadczenia. Musiałem od razu prowadzić zajęcia, na szczęście tylko ćwiczenia, a te były na geodezji wyższej bardzo proste, bo wydawało się tematy i... wychodziło z sali (oczywiście w dużym uproszczeniu). Nauczyłem studentów, jak bez trudu sprawdzić obliczenia, i to zaoszczędziło mi mnóstwo czasu, który musiałbym przeznaczyć na kontrolę wyników.

**I studenci sami sobie radzili?**

Oczywiście, bez żadnych problemów. W czasie ćwiczeń liczyli zadania na kręciolkach, czyli arytmetrach. Tylko furczało. Ale już wtedy firma Hewlett-Packard informowała, że produkuje kalkulatory na potrzeby amerykańskiego przemysłu kosmicznego. Gdy tylko zobaczyłem taki na zdjęciu, od razu bardzo chciałem go mieć. Był wyposażony w pamięć, a my nawet nie wiedzieliśmy, co to znaczy i jak z niej korzystać. Minęło jeszcze trochę czasu, nim dwa egzemplarze HP sprowadziłem na wydział. Tylko że od



Tadeusz Jasiński w swoim domu w Perth, listopad 2011 r.

razu zamknięto je w sejfie i mogli z nich korzystać jedynie ci, którzy robili doktoraty i ewentualnie prace magisterskie.

**Co było tematem pańskiej pracy doktorskiej?**

Kiedy przyszedłem na Politechnikę, profesor Kamela zapowiedział mi: Panie kolego, pan wie, jest tylko 6 lat na wykazanie się doktoratem. Minęły cztery lata, a ja nie miałem żadnego pomysłu. Byłem trochę podłamany. Problem polegał na tym, że nie było w kraju sprzętu, który mógłby służyć do wykonania badań. Niektórzy koledzy poszli w kierunku rozwijania teorii, inni zrobili doktoraty... pisząc programy komputerowe do gotowych wzorów.

**Ale to przecież tylko zmiana narzędzia.**

Oczywiście, ale wiele osób nie miało pojęcia o komputerach i jakoś się to udawało. Na szczęście robiliśmy pomiary dla Politechniki Szczecińskiej i w tamtejszej stoczni pojawiło się ciekawe zagadnienie. W związku z tym, że statki są budowane na pochylni, pomiary wykonywano teodolitami odchylonymi od pionu. Te odchylenia są spore, co najmniej 3,5 stopnia, a więc poza zakresem libeli. Mierzenie kątów w płaszczyźnie pochyłej jest bardzo trudne. Jak już się pochylił teodolit pod zadanym kątem, to najdrobniejszy ruch całej płaszczyzny, która została wcześniej wyznaczona, sprawia, że wyniki są do niczego. Trzeba było znaleźć takie rozwiązanie, żeby uniezależnić

się od tego. Chodziło zatem o to, żeby za każdym razem instrument był ustawiony identycznie i żeby mierzyć zawsze w tej samej płaszczyźnie. Do teodolitu pracującego pod kątem należało wprowadzać odpowiednie poprawki. Jednak z tych pomiarów początkowo nic im w stoczni nie wychodziło i stąd wziął się mój temat na doktorat.

**Jak pan to zamierzał rozwiązać?**

Pomyślałem sobie, że jeśli lunetę teodolitu obróci się do góry i zakręci nim wokół osi pionowej, to krzyż nitek zakreśli na suficie koła. Jeśli są luzy na osi pionowej, to te koła będą „zębate”. A ponieważ oś jest celowo lekko odchylona od pionu, to teodolit opiera się na tulei wewnątrz, czyli te poprawki przy stałym ustawieniu zera teodolitu są stałe dla danego kąta poziomego. Te właśnie poprawki wyznaczone co kilka stopni powinien dostać człowiek w terenie. I to był cały pomysł.

**Teraz wystarczyło go tylko zrealizować.**

Co nie było łatwe, bo przecież śladu krzyża na suficie nie widać. Długo myślałem, aż przyszło mi do głowy, żeby wykorzystać do tego teodolit Wild T4 z okularami łamanym. Wystarczyłoby ten 22-kilogramowy instrument ustawić nad badanym teodolitem i skierować obie lunety ku sobie. Wtedy w okularze łamanym T4 widziałbym krzyż nitek badanego teodolitu i mógłbym wyznaczyć poprawki dla różnych kątów poziomych badanego teodolitu.

**Nieźla sztuczka.**

Po raz pierwszy robiłem to drżącymi rękami, bo nie byłem pewien, czy zobaczę ten krzyż badanego teodolitu. Ale udało się! (*śmiech*). To rozwiązanie przeszło pewne ewolucje i rewolucje, bo w jednej z sal w ścianach trzeba było wybić metrowe dziury, w których zostały zamocowane i zabetonowane szyny do ustawienia Wilda T4. Prace przygotowawcze zostały zakończone, przystępuję do pomiarów, a tu nic nie wychodzi. Jak tylko dotykam T4, szyny zaczynają wibrować. Mówi się, że jak robisz doktorat w geodezji, to zacznij od szukania szpadla. I to był klasyczny przypadek. Na szczęście o moich problemach usłyszał wydziałowy mechanik Jerzy Maciurzyński, który znalazł rozwiązanie problemu. Pomalował szyny farbą epoksydową i drgania ustały. Sam nigdy bym na to nie wpadł. Czyli do zrobienia doktoratu był potrzebny cały łańcuszek ludzi.

**Od tego momentu było już z górki?**

Jeszcze nie do końca. Ponieważ miałem zajęcia ze studentami IV roku, od razu zadałem im badanie osi pionowych teodolitów precyzyjnych. Każdy musiał przetestować co najmniej trzy instrumenty, dzięki czemu w krótkim czasie miałem 40 zbadanych teodolitów. Ale to nie był jeszcze finał, bo teodolity Zeissa Theo 020, które badaliśmy, okazały się zbyt lekkie i nie nadawały się do pomiarów statków. Ale akurat przysłało ze Szczecina o wiele cięższego Wilda T3.



No i to było właśnie to, o co chodziło. Ten egzemplarz miał być później używany na pochylni i było wiadomo, że jak się ustawi zero we właściwym kierunku, to dla określonego kąta poziomego będzie znana poprawka. W rezultacie w 1971 roku obroniłem doktorat.

**Dlaczego 10 lat później wyemigrował pan wraz z rodziną? W Polsce byliście kimś, a wybraliście niepewny los.**

Gdyby dwa lata wcześniej ktoś mi powiedział, że wyjedziemy na Zachód, to nie uwierzyłbym. Na Politechnice nie było źle, miałem nienormowany czas pracy i przyzwoite, jak mi się wydawało, zarobki. Przyczyną wyjazdu była przede wszystkim awantura na Wydziale, u której podstaw leżały pieniądze. Razem z Romkiem Kleczkiem ciężko pracowaliśmy w terenie, często po kilkanaście godzin dziennie. Kłopoty zaczęły się od tego, że zleceniodawca – Pracownia Miejska w Szczecinie – zażyczył sobie, żeby wyniki naszych prac wysłać razem z opracowaniem rektora prof. Zdzisława Adamczewskiego. Miało to tworzyć całość pod nazwą optymalizacja pomiarów geodezyjnych. My zajmowaliśmy się praktycznymi pomiarami pod szklarnie mon-

nie czasami tak bywało, że robiło się jedno, a pieniądze dostawało za coś całkiem innego, więc mnie to nie zdziwiło. Spakowałem ten „raport” razem z naszymi pomiarami, dołączyłem pismo przewodnie z Instytutu i wysłałem do Szczecina. Za kilka dni odebrałem stamtąd telefon pełen oburzenia: Co ty mi tu przysłałeś? Wasze pomiary są w porządku, ale co to jest to drugie? Czy to jest sprawozdanie za trzy lata optymalizacji?

I to był sygnał, że trzeba siedzieć cicho, a ja tego nie zrobiłem. W tym samym czasie dostaliśmy z Kleczkiem zawiadomienie z PPG w Warszawie, że mamy jechać do Iraku. Profesor Ząbek chciał nas na wydziale zatrzymać, ale nie mógł formalnie odmówić zgody, bo decyzje zapadały ponad jego głowę. Napisał nam za to w opinii, że wprawdzie jesteśmy dobrymi fachowcami, ale nie nadajemy się do pracy w zespole. Ta opinia dyskwalifikowała nas jako kandydatów do wyjazdu.

**Ale wyście chcieli pojechać?**

Oczywiście. Nie mogliśmy początkowo zrozumieć, o co to chodzi. Później się okazało, że Janusz Śledziński i Kazimierz Czarnecki w tym samym czasie wyjeżdżali do Afganistanu na wykłady i Ząbek nie miałby z kim pracować. Ale za-

miast nam to powiedzieć wprost, zaczął robić podchody. Doszło do tego, że próbował nas dyscyplinarnie zwolnić z pracy, powołał się między innymi na... nieprawidłowości związane z „pracami nad optymalizacją”.

Ja jednak zwróciłem uwagę na to, że na wymówieniu nie ma opinii Podstawowej Organizacji Partyjnej (żeby wyjechać do Iraku, musiałem zostać członkiem PZPR) i związków zawodowych. I jedni, i drudzy przyznali nam rację. Wymówienie było więc nieważne. Skończyło się na tym, że na zebraniu partyjnym powiedziano wprost, iż zachowanie Ząbka jest poniżej krytyki, bo bezpodstawnie wyrzucił nas z uczelni. Ząbek dostał nagannę partyjną i musiał wycofać to podanie.

**Czyli wybroniła was organizacja partyjna.**

Był rok 1976 i droga oficjalna była jedyną naszą szansą obrony. Ostatecznie, by zakończyć ten spór, przyjął nas obu do pracy w swoim instytucie profesor Henryk Leśniok. Niedługo potem Ryszard Pażus z PPG wysłał nas do Iraku. I tu zaczyna się druga część odpowiedzi na pytanie, dlaczego wyjechaliśmy z Polski. Pierwszy raz zobaczyłem, jak to jest na Zachodzie, choć przecież co to za Zachód był z tego Iraku.



Wycinek z prasy australijskiej z 1985 r. nawiązujący do kariery tenisowej Barbary Jasińskiej. Na zdjęciu Jasińscy z nastoletnimi córkami



Barbara Jasińska (z domu Panasiuk), mistrzyni Polski w tenisie ziemnym w roku 1964, absolwentka Wydziału Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej, wiele lat przepracowała w warszawskiej geodezji. Perth, listopad 2011 r.

towne z gotowych elementów, które musiały być bardzo precyzyjnie dopasowane. Skończyliśmy swoją robotę i czekamy na to opracowanie Katedry Rachunku Wyrównawczego. Okazało się, że liczyło kilka stron, choć prace zajęły podobno kilka lat i kosztowały sporo pieniędzy. Ale to nie była moja sprawa. Poza tym w komu-

## Czym się Pan tam zajmował?

W tym czasie istniała w Iraku tylko stara angielska sieć geodezyjna, a my zakładaliśmy nową sieć triangulacyjną, którą później nasi koledzy zagęszczali. Typowa robota geodezyjna, ciekawa i dobrze opłacana, bo władze irackie nie żałowały na to pieniędzy.

**Otworzyły się Panu oczy na to, że istnieje inny świat.**

Właśnie tak było. A wie pani, co robi Polak, jak przyjedzie z kontraktu zagranicznego?

**Wpłaca pieniądze na konto w banku. Jak jest mądry, to kupuje dom, a jak nie bardzo, to samochód.**

No właśnie, 90% ludzi kupuje samochody. Ja kupiłem fiata 125 za 1250 dolarów. To była cena w Pekao [można tam było dokonywać zakupów wyłącznie za zachodnie waluty, a złotówka polska nie była wymieniałna – red.].

Ale w tym czasie powstała już „Solidarność” i koledzy z wydziału wybrali mnie na założyciela. Zwołałem zebranie, w pierwszym rzędzie usiedli... Adamczewski i Ząbek. Powiedziałem, jakie są cele i zadania „Solidarności” i że teraz proszę się organizować, wybieramy tymczasowy zarząd. Ale nikt nawet palcem nie kiwnął, nie było żadnej inicjatywy. W końcu wybrali mnie na przewodniczącego. Za trzy dni przyjechał Andrzej Gwiazda z Gdańska i zwołaliśmy zebranie wszystkich wydziałów Politechniki. Gwiazda apelował o to, by powstała jedna „Solidarność” w całej Polsce. Na początku nie bardzo rozumieliśmy, o czym on mówi, bo przecież zapanowała wolność. Ale starsi koledzy wiedzieli, co to za wolność.

**Dopóki znów nie przykręcą śruby.**

No właśnie. Za jakiś czas odbyło się wspólne zebranie „Solidarności” z poszczególnych wydziałów i ustaliliśmy, że wszyscy zostawiamy nazwę „Solidarność” i podlegamy zarządowi krajowemu związku.

W kraju panowała euforia, nasza rodzina osiadła za granicą rozważała nawet powrót do Polski, a my z Barbarą siedliśmy któregoś dnia i rozejrzeliśmy się po mieszkaniu. Zadałem żonie pytanie: Czego dorobiliśmy się przez 20 lat pracy w PRL-u? Praktycznie niczego, było tylko to, co kupiliśmy za pieniądze zarobione na kontrakcie. Zdecydowaliśmy się na wyjazd. Nie chcieliśmy uciekać, tylko oficjalnie wyjechać, mieliśmy przecież paszporty. Wybraliśmy Jugosławię.

**Formalnie to był wyjazd wakacyjny?**

Tak, z tym zastrzeżeniem, że miałem pracować jakiś czas na Uniwersytecie w Belgradzie, więc zabrałem nawet fachowe książki. Jak wreszcie przekroczyliśmy granicę, nie wytrzymałem i zawałałem,



Fot. ze zbiorów Tadeusza Jasińskiego

*Tadeusz Jasiński już jako kierownik zespołu geodezyjnego pracującego w głębi kontynentu. Chwila odpoczynku w upalne popołudnie*

nie zważając na obecność córek: A teraz mam was wszystkich w dupie! Wyjazd był wtedy marzeniem większości młodych Polaków. Dojechaliśmy do Austrii.

**To do Jugosławii w ogóle nie dotarliście?**

A skąd!

**W Austrii zgłosiliście się do ośrodka dla uchodźców?**

Na tym właśnie polega problem, że nie. W środku nocy zapukaliśmy do drzwi naszej znajomej w Wiedniu, która, choć kompletnie zaskoczona niezapowiedzianą wizytą, nie odmówiła nam pomocy. Zresztą nie tylko ona, bo w Austrii utknęliśmy na 5 miesięcy.

**Od razu wyjeżdżaliście z pomysłem, że celem będzie Australia?**

Tak, ale zanim tam dotarliśmy, pracowałem w Austrii fizycznie jako robotnik budowlany przy mieszaniu betonu, chociaż na początku zadzierałem trochę nosa jako doktor nauk technicznych.

**Miał pan już doświadczenie z betonem wyniesione z geodezji krajowej.**

Racja, ale przy tym austriackim cementowaniu nauczyłem się organizacji pracy. Robotę należało tak zaplanować, żeby skończyć w określonym czasie i jeszcze zdążyć posprzątać stanowisko pracy. Tego w Polsce nie uczyli. Pracowałem tak przez 5 miesięcy, za 35 dolarów tygodniowo.

**W tym czasie załatwialiście formalności związane z wyjazdem do Australii?**

Nie, formalności były załatwione na wstępie, później czekaliśmy tylko na zgodę rządu Australii. Sądziliśmy, że to potrwa ze dwa tygodnie. Ambasada wysłała nas do Gresten do swojego obozu. Ale ja, panisko z dolarami z Iraku, wynająłem pokój w domu wczasowym. Dopiero przypadkiem odkryliśmy, że zawiadomienia z ambasady przychodziły do obozu, gdzie nas oczywiście nie było i nikt nas nie znał. Zanim to się odkryło, minęło pięć miesięcy. W końcu jednak dostaliśmy bilety i wylecieliśmy do Perth. Obu-

dziliśmy się następnego dnia rano w Australii i ogarnęła nas wielka radość, że wreszcie udało nam się tutaj dostać. Zapamiętaliśmy z tych pierwszych dni papuzki za oknem i zapach eukaliptusa.

**A jak było z pracą?**

Wtedy jeszcze nie byłem dostatecznie pokorny. Sądziłem, że z moimi dyplomami i kwalifikacjami w 2-3 tygodnie załatwię sobie pracę w zawodzie. Minęło 4,5 miesiąca i nic nie mogłem znaleźć. Na szczęście zasiłki dla emigrantów były na tyle wysokie, że udawało nam się przeżyć, a dzięki zapobiegliwości żony, nawet nieco odłożyć. Przez ten czas mieszkaliśmy w przyzwoitych warunkach w Greylands Hostel przeznaczonym dla imigrantów. Zaniósłem swoje dyplomy do kierownika tego ośrodka, wysłałem ponad 50 podań o pracę do firm geodezyjnych albo mających komórki geodezyjne. Ale nikt nie był zainteresowany. Moje kwalifikacje były dla nich zbyt wysokie, radzili mi szukać pracy na uczelni. Nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nie pewne małżeństwo, które postanowiło pomóc inteligentkiej, katolickiej rodzinie z obozu. Tak to zajęli się nami George Russo wraz z żoną Anette. Ten człowiek, były ksiądz, poświęcił dwa tygodnie urlopu wyłącznie na to, żeby mi pomóc znaleźć pracę. Ale i to nie dało. Dopiero przez swojego znajomego, który był szefem firmy geodezyjnej, udało mu się załatwić dla mnie zajęcie.

**Co to była za praca?**

Sądziłem, że od razu wykorzystam wiedzę z uczelni, tymczasem moje pierwsze zadanie polegało na wbijaniu palików, i to tak równo, żeby wystawały dokładnie 5 cm nad ziemię. Oni tutaj w ogóle nie sprawdzali moich kwalifikacji, bo wiedzieli, że uchodźcy z krajów komunistycznych muszą się przycuczyć do całkiem innych przyrządów i całkiem innych układów. Ale ja oczywiście chciałem ich zaskoczyć. Miałem ze sobą kupiony za „irackie” dolary programowany





Fot. ze zbiorów Tadeusza Jasińskiego

Tadeusz Jasiński w czasie pomiarów w Mindarie Keys, początek lat 90.

kalkulator HP 25, który potrafił wykonać 50 kroków, i zamierzałem im to pokazać. Na szczęście wcześniej zauważyłem u kogoś model HP 45P, który był o kilka lat do przodu. Okazało się, że tutaj wszyscy już takie mieli (*śmiech*).

#### To był nadal 1981 rok?

Tak, ale ja się nie poddawałem, bo już wiedziałem, że jestem na dobrej ścieżce. Przepracowałem w tej samej firmie 25 lat. Na początku byłem asystentem i pomagałem mierzyć odległości 100-metrowym drutem. W Polsce używaliśmy taśmy i dalmierza, tu mierzyło się wyłącznie drutami, mimo że mieli już dalmierze (w firmie było ich około 15). Dopiero później zorientowałem się, że trafiłem na moment, kiedy technika wyprzedziła regulacje prawne. Ale ja od razu te druty odrzuciłem i znalazłem grupkę równie zapalonych geodetów, na szczęście był w niej również zastępca dyrektora, który stał się motorem moich działań technicznych.

#### Jakimi pomiarami zajmowała się pa-nia firma?

Wszystkimi. Associated Survey powstała w latach 50. i na zlecenie różnych prywatnych inwestorów, głównie kopalń, tworzyła na podstawie zdjęć lotniczych mapy na obszarze od Perth do leżącego 500 km na wschód Kalgoorlie. Okres od wykonania zdjęć do uzyskania gotowej mapy trwał około miesiąca. W Polsce przykładano dużą wagę do estetyki. Ale tutaj to jest ostatnia rzecz, której się żąda. Najważniejsze są dokładność i czytelność.

Na początku płaca nie była wysoka, 200 dolarów tygodniowo, tyle co zasiłek dla bezrobotnych, ale wystarczało nam na wszystko, łącznie z wynajęciem domu. Żyć, nie umierać. Później dostałem się do działu obliczeń (w firmie były jeszcze dział: kartowania i pomiarów terenowych) i dalej już poszło. Zdążyłem jeszcze popracować jako operator ostatniego lampowego systemu HP1000 z końca lat 60., który zajmował pół pokoju. Moje pierwsze zadanie polegało na wykasowaniu wybranych plików, usunąłem ich jednak za dużo i w panice narobiłem sporo szkód. Kiedy wreszcie się do tego przyznałem, okazało się, że te usunięte pliki można bez problemu odzyskać. Odetchnąłem z ulgą. Jeszcze w tym samym roku w biurze pojawiły się pierwsze komputery biurowe.

#### Która z prac wykonywanych w Australii była dla pana najciekawsza?

Na pewno obsługa budowy międzynarodowego lotniska w Perth. Trudność wynikała stąd, że nie pracowało się na siatce kwadratów, tylko w łuku. Najpierw wyznaczaliśmy, gdzie mają stać wszystkie słupy w łuku. Monterzy je stawiali, podpierali i dopiero wtedy geodeta ustalał dokładne położenie ich dolnej i górnej części. Tych kolumn było 250. Zanim doszedłem do końca, już byłem potrzebny na początku. Zawsze fascynowały mnie pomiary inżynierskie. Wyniki swoich prac sprawdzałem kilkoma sposobami, więc byłem pewien, że wszystko jest dobrze, i dawało mi to wielką satysfakcję. Dodam jeszcze, że bardzo przyjem-

nie pracowało mi się tutaj ze wszystkimi ludźmi niezależnie od narodowości.

#### Ile osób zatrudniała Associated Survey?

W najlepszych czasach 52 geodetów, ale później w Australii Zachodniej przybywało pokrycia mapami, zleceń było coraz mniej i firma skurczyła się do 15 osób. Dotychczasowi właściciele z powodu dużych inwestycji w ziemię stracili płynność finansową i sprzedali biznes holenderskiej firmie Fugro Survey, która zajmowała się głównie przynoszącą olbrzymie pieniądze hydrografią. W końcu Fugro wprowadziła swoje porządki, zwalniając całe kierownictwo, a przy okazji także i mnie. Gdybym był hydrografem, nie spotkałoby mnie to. Przypomniały mi się wtedy słowa prof. Kame-li, który wiele lat wcześniej namawiał mnie na hydrografię,

bo dalekosiężnie przewidywał, co będzie źródłem pieniędzy dla geodetów.

#### Dlaczego firma ostatecznie upadła?

Nie sprawdziły się prognozy sprzed kilkunastu lat dotyczące szybkiego wzrostu cen benzyny. Wtedy opłacalne byłyby inwestycje w australijską ropę, co pociągnęłoby za sobą zapotrzebowanie na prace hydrograficzne i geologiczne. Tak się nie stało.

#### Nie myślał pan nigdy o założeniu własnej firmy?

W Perth jest około 300 firm geodezyjnych 1-2-osobowych i w małych robotach typu podział działki jest duża konkurencja. Przyznam, że byłem bliski założenia własnej firmy, ale nie zrobiłem tego z lenistwa. Miałem wtedy już 64 lata, a to jest wiek, w którym Australijczyk jedzie odpoczywać na Bali, a nie myśli o zakładaniu interesu. Teraz obydwójce z żoną jesteśmy na emeryturze, mamy swój dom, nie musimy się o nic zabijać. Jako ciekawostkę powiem, że część mojej emerytury odprowadzana przez pracodawcę i zainwestowana w jednym z funduszy emerytalnych przepadła na skutek bankructwa tego funduszu. Na szczęście wszyscy obywatele Australii, niezależnie od stażu pracy, po przekroczeniu wieku emerytalnego mają prawo do rządowej emerytury w wysokości 539 dolarów tygodniowo.

#### Australia stała się dla pana drugą ojczyzną?

Pierwszą. Mam duży sentyment do Polski, ale Australia to jest mój kraj.

Rozmawiała i fotografowała  
Katarzyna Pakuła-Kwiecińska